Nr. 46. We Lwowie, Poniedziałek dnia 17. listopada 1890.

Dodatek literacki „DZIENNIKA POLSKIEGO".

Kronika Paryzka.

w listopadzie 1890.

(W Marly. — Ślub córki Dumasa. — Coquelin. — Walka byków. — W „pawilonie miasta Paryża". — Nowości teatralne. — „Kleopatra").

Nie masz w okolicach Paryża ustroni równie lubej jak Marly. W tym pełnym zieleni zakątku można sobie wyobrazić, że się jest daleko gdzieś od stolicy, w głębi jakiejś doliny, wyniosłemi ocienionej drzewami. Widok ztamtąd nierozległy, z jednej tylko strony, na Sekwanę dołem płynącą, i odlegle na drugim jej brzegu wzgórza. „Wielki Król" chciał sobie tam urządzić pustelnicę; dokoła zaś tuzin innych pomieszczeń zbudowano dla jego dworzan. Miało to być upostaciowaniem dwunastu godzin dnia, okrążających słońce. Ale cóż dziś zostało z tego pałacyku, należącego niegdyś do ciekawości tego czasu, i gdzie się tak elegancko bawiono w towarzystwie urodziwej margrabiny Montespan? Kawały muru wskazują wśród murawy miejsce, skąd pienisty rzuca się wodospad, i rodziny małomieszczańskie w dnie niedzielne rozsiadają się tam po spacerze na trawie dla spożycia przyniesionego posiłku; a w wielkich wodozbiorach kamiennych, karyatydami przyozdobionych, pławi włościanin wieczorem swe konie. Nasi modni pisarze lubią się chronić do małej wioszczyny wśródleśnej, do wzgórza po drugiej stronie parku przytulonej. Celebruje tam p. Sardoua i p Aleksander Dumas w tejże wiosce miejsce zamieszkania sobie obrał; gdzie też odbyły się zaślubiny jego córki. Pomimo dość znacznej od Paryża odległości liczna była przy tym obrzędzie assystencja w zaszczupłym na to miejsco wym kościółku. Zjechały się wszystkie niemal znakomitości z dziedziny literatury i sztuki: Meissonier, Sardou, Claretie, Delibes, Doucet, Scholl, Halevy, Pailleron; była księżna Matylda i sporo osób ze świata politycznego. Panna młoda Joanna Dumas ubraną była z gustowną prostotą, która kontrastowała ze wspaniałemi strojami dam zaproszonych. Świadkami z jej strony byli: generał Cambriels i p. Karol Narrey; ze strony zaś pana młodego, hrabiego d'Hauterive, kapitana od strzelców, margrabia Segur i hr. Lusse.

Pomyślne to dla stron interesownych i ich przyjaciół zdarzenie miało jednak i swoje ale. Nazajutrz po zaślubinach zjawił się we wszystkich celniejszych dziennikach list hrabiego d'Hauterive, sekretarza ambasady, w którym tenże protestuje jako głowa rodziny, przeciwko przywłaszczeniu nazwiska i tytułu przez małżonka panny Dumas. Ten ostatni według brzmienia prostetacji ani jest hrabią, ani ma prawo do nazwiska d'Hauterive, nazywa się bowiem poprostu Lecourt. Wolno u nas każdemu doczepiać sobie de do nazwiska, a nawet i tytułować się, jak chce na wizytowych biletach. Co innego jednak podpis na akcie urzędowym. Zresztą de nie jest i nigdy nie było niezawodną cechą szlachectwa.

Coquelin, ucieszny Coquelin z teatru Komedji francuskiej, powrócił właśnie z Ameryki. Chciał on był zabawić młodzież Ameryki Południowej, no i kiesę też sobie dobrze napchać: ale trafił nieszczęśliwie na rewolucją, i rozpasanie giełdziarskie w Buenos-Ajres, a gorzej jeszcze w Montevideo: bo na straszne ulewy i powodzie. Słowem zawiódł się biedak, i dla takiej poprawy losu sprobował jeszcze Brazylji. Wychodzi na to, że nasi aktorowie stali się artykułem wywozowym, i to takim, przeciw któremu żadne prawo Mac Kinley'a nic nie wskóra.

Cocquelin miał się popisywać przed Hiszpanami, a tymczasem Hiszpanie zaczynają się aklimatyzować w Paryżu. Przy ulicy Pergolese otworzyli oni cyrk dla przedstawień walki z bykami, który był w tych dniach widownią smutnego wypadku. Biedny jakiś murzyn w przedstawieniach tych uczestniczący został trzykrotnie podrzucony przez byka, który go prócz tego podeptał i zbódł okrutnie, a niepodobna go było na razie ratować. Gdy nieszczęśliwy tarzał się po ziemi, daremnie usiłowali toreadorzy odciągnąć ku sobie rozjuszone zwierzę, pastwiące się uporczywie nad murzynem. Jednemu z nich udało się to nareszcie, lubo z wielką trudnością; bo widok krwi zdawał się byka jeszcze bardziej rozbestwiać. Publiczność nie klaskała tym razem; kilka pań zemdlało, a mężczyzni oburzeni zrywali się z ławek. Pokaleczonego murzyna wyniesiono w stanie beznadziejnym; przedstawienie zawieszono. Widocznie brak tam był należytych środków ostrożności.

Wrota „Pawilonu miasta Paryża" na Polach Elyzejskich otwarły się znowu dla czwartej wystawy „Czarno-Białej" t. j. rysunków kredą i ołówkiem. Ciekawa to doprawdy wystawa wyjawiająca pierwsze naszych wielkich malarzy pomysły, ołówkiem lub kredą nakreślone. Kartony pana Puvis de Chavannes — „Ludus pro patria" i „Sta Genowefa" najwięcej na siebie zwracają uwagi; obok rysunki p. Jacques dwuołówkowe, pysznie narzucane. Te ostatnie przedstawiają nam życie wiejskie; są to płody wycieczek zamiejskich, jakby rysowane notatki; tu jakiś kącik siedziby wieśniaka, tam trzoda baranów, cisnących się jeden na drugiego przy wejściu do owczarni i t. p.; a wszystke mistrzow

stwem nacechowane. Dalej szkice p. Allonge ślicznemi odznaczające się drzewami; dalej kirasyery pod Rezonville, rysunek p. Rouffet, znakomicie kreślony; wreszcie liczne studja kwiatów i martwej natury. Dobrą jest tej wystawy nowością, że zaproszono do udziału w niej litografów, którzy też też bardzo piękne prac swych okazy przedstawili.

Po całym szeregu miernych i nie wartych słuchania nowości, jakie wystawiono na scenach paryskich od początku sezonu, to jest w ciągu kilku ostatnich tygodni, doczekaliśmy się nareszcie „Kleopatry“, którą z taką wrzawą, jak może nigdy jeszcze, przygotował teatr de la Porte-Saint-Martin.

„Kleopatra“, dramat w pięciu aktach i sześciu obrazach przez pp. Wiktoryna Sardou i Emila Moreau, muzyka p. Ksawerego Leroux — tak głosił afisz w d. 23. z. m.

Byłem przekonany, idąc na tę sztukę, że powetuję sobie cały szereg straconych wieczorów, które poświęciłem na słuchanie nudnych, jak gdyby z niemieckiego tłómaczonych komedyj, dramatów i zatłuszczonych fars wyłącznie w dziedzinie szóstego przykazania szukających motywu i efektów.

A było takich wieczorów sporo, coś ze sześć albo ośm. Niechże je przypomnę tutaj, dla tego jedynie i wyłącznie, aby się która z tych nowości nie zabłąkała przypadkiem na sceny polskie.

Więc najpierw wymienię daną przez teatr *Renaissance* tak zwaną „revue“, utworu pp. Boyen i Clairville, p. t. *En scène mesdemoiselles.* Rzecz przeważnie lokalna, nie ciekawa. Dalej dramat p. Marthold p. t. *L'Ogre,* utwór o szlachetnej tendencji, w którym człowiek fałszywie oskarżony zostaje w ostatnim akcie rehabilitowany, ale na uczciwość taki nudny, że płakać się chce, nie nad losem bohatera, ale nad swoim własnym. To było w *Ambigu.* Numer trzeci, jeszcze jedna *Marja Stuart,* dramat historyczny pp. Cressonois i Samson. W teatrze *Château d' Eau.* Numer czwarty w *Gymnase, L'art de tromper les femmes,* komedja w trzech aktach p. Paul Ferrier, pobudzająca do wybuchów śmiechu, ale nadająca się do grania właściwie po 12 w nocy, tak samo jak i (wreszcie przedewszystkiem), numer piąty w Palais Royal *Les femmes des amis,* utwor przechodzący otyłością farsy najsłynniejsze w swej tuszy.

Teatr *Déjazet* wystawił znowu jakiś nie zdarny wodewil pp. René Lafon i Dorsay, opatrzony tyle obiecującym tytułem: „Ces monstres d'hommes“. Coś obskurnego, — innego wyrazu nie znajdę.

Wreszcie „*Le Deputé Leveau* p. Lemaitre, sztuka naszpikowana polityką lokalną, coś niby pamflet, ale ani w dziesiątej części tak bawi i zajmuje jak *Rabagas* Sardou, albo *Le Panache* Gondineta. Dzieło to wystawił *Vaudeville.* Ze wszystkiego najlepsza była *Ośla skóra,* stara „féerie“ z przed lat trzydziestu, z baletami, elektrycznością, kaskadami, bajecznemi dekoracjami itd., którą wznowił teatr *Châtelet.* Tą „Oślą skórą“ godzi się nakryć cały repertuar dzisiejszych paryskich nowości teatralnych.

Przejdźmy do „Kleopatry“. Jak rzekłem, liczyłem na to, że dzieło nad którem pracował Sardou, powetuje zawód dotychczasowy. Mamże powiedzieć z góry, że doznałem rozczarowania? Nie powiem tego, ale nie powiem dla tej jedynie przyczyny, że literacką wartość dzieła bardzo szczupłą, salwuje motyw.

Wrażenie ogólne „Kleopatry“ daje streścić się w ten sposób: widowisko świetne, w sposób nader ciekawy dające nam obrazy z życia antycznego, instruktywne nawet dla wielu, obok tego zaś tryumf niezaprzeczony, ogromny Sary Bernhardt. Dla niej też prawie wyłącznie sztuka była pisana, tak samo jak „Tosca“, która zeszła już z repertuaru; jestto przytem ostatnia kreacja Sary Bernhardt przed opuszczeniem Paryża wybiera się bowiem w podróż na całe dwa lata.

— Robota nie godna Sardou, — powiedział ktoś bardzo surowo ale i słusznie zarazem. Od takiego autora należało się coś więcej nad szereg tych sześciu obrazów długich i przewlekłych, — bo tak jest w dodatku, — obrazów, w których zamiast akcji mamy ciągłe recitativa, ciągłe opowiadania, przypominające swą często ścią a nierzadko i suchością stylu, owe sztuki pisane przez starych profesorów, które dawnemi, bardzo dawnemi czasy grywali niekiedy uczniowie liceów i konwiktów.

Mimo to publiczność biła szalone brawa, zachwycona pięknością zewnętrzną obrazów, pompą i okazałością dekoracyj, oraz grą Sary Bernhardt, która całą gamę uczuć z niezrównaną maestryą oddać umiała. Realizm zaś sceny ostatniej, w której prawdziwy wąż z sykiem rzuca się i kąsa łono artystki, wstrząsnął najsilniejszemi nerwami. Garnier (Antoniusz) grał także wybornie, ale nużył słuchających, tak samo jak wszyscy, z wyjątkiem Sary, przewlekłością dyalogów.

Muzyka baletowa archaiczna jest udatna i dość wdzięczna.

Pochodzenie kwestji Szekspirowej

przez

Arveda Barine'a.

Dawała do zrozumienia, że instrukcje te wszystko przewidziały i zwycięzko odpierała wszystkie trudności, jakie mogą powstać przy odszukiwaniu skarbu, nawet, jeśli dobrze pamiętam, wszytkie kłopoty, jakie prawdopodobnie wywołała interwencja władz parafji. Jeśli miss Bacon pozostawała jeszcze w Anglji, a raczej jeśli przyjechała tutaj trzy lata temu, to tylko dla tego, aby pozyskać te materyalne i niezwalczone dowody prawdy swej teorji.

„Dziwne to wyznanie wypowiedziała głosem cichym i spokojnym; ja również słuchałem spokojnie, bez najmniejszej oznaki niewiary“.

W miesiąc później miss Bacon wyjechała do Stratford nad Avon, z postanowieniem otworzenia grobu Szekspira i zabrania papierów schowanych w wyżłobieniu. Dalszy ciąg jej historji przypomina romans Anny Radcliffe. Wynajęła ubogie mieszkanko i jak wiadomo poczęła odwidzać kościół, gdzie pochowany jest wielki poeta. Długo

badała kamień grobowy, starając obrachować jego wagę i grubość. Czy będzie miała dość siły podnieść go? Czy kamień dosyć jest gruby, by zawierać owe archiwum? Dozorca kościelny stał się powiernikiem tajemniczej cudzoziemki; szło tylko o to, aby jej pomódz do obrażonia mogiły. Dozorca roztropnie polecił udać się do proboszcza parafji, który zrozumiał, z kim ma do czynienia ciągnął sprawę, obiecując sam pomoc do odwalenia kamienia i tymczasem pozwolił miss Bacon wejść samej w nocy do kościoła. Udała się tam, nie wiedząc, że pilnuje jej dozorca.

Zaopatrzyła się w głuchą latarnię i w „rozmaite przedmioty, które wydałyby się podejrzanemi, gdyby policja była mię spotkała" (list do Hawthorne'a), przystąpiła do nowego i szczegółowego zbadania grobowca, zapewniła się, że kamień nie były pojedyncze i że waga ich przewyższała jej sił (tak się jej przynajmniej zdawało). Obróciła latarnię swoją ku biustowi tego brudnego komedjanta, prawdopodobnie aby nasycić się jego rozpaczą wobec zdemaskowania. Ponieważ latarnia słabo świeciła, nie mogła twarzy rozpoznać, ale „wiedziała, że na nią patrzył" Kościół był zamknięty; Delia Bacon zbliżała się do celu i wyroki nieba miały być wykonane; kilka minut pracy i skarb będzie w jej rękach.

W tej krytycznej chwili wstrzymał ją przebłysk rozsądku. Usłuchała wewnętrznej przestrogi która tak często zatrzymuje waryatów, a zwłaszcza półwaryatów, nad brzegiem przepaści. Nieświadoma cząstka ich samych sądzi i potępia ich złudzenia i podszeptuje im preteksty do odroczenia decydującego kroku, któryby sprowadził fatalne rozczarowanie. W głębi ducha, nie zdając sobie sprawy, Delia Bacon wiedziała dobrze, że grób jej pusty i postanowiła faktu tego nie konstatować. Trzy godziny miała przed sobą. Zamiast wziąć się do roboty, usiadła na kamiennej posadzce i oddała się poetycznym marzeniom o ciemności sklepienia, „które było jak niebo o północy". Straciwszy tak dobrowolnie dużo czasu, zlękła się, że ją zaskoczą: „Wrazie, gdyby nie udało mi się odrazu i natychmiast, powiada w liście do Hawthorne'a ryzykowałam stracić na zawsze możność dalszej pracy". Myślała także, że kamień grobowy może jest tylko wiekiem, kryjącem kamień prawdziwy, zawierający papiery; że ten drugi kamień mógł być porwany i t. d. Krótko mówiąc, trzy podziny upłynęły i miss Bacon usłyszała czyjeś kroki. Był to dozorca, który wyznał, że nie opuszczał na chwilę kościoła. Pozostawało zabrać latarnię i przyrządy.

W tym samym liście mówi Hawthorne'owi z goryczą o „wyrafinowanem okrucieństwie brata, który radzi jej dla zarobku trochy grosza napisać romans na temat wielkiego odkrycia.

W kwietniu 1857 r. dzięki staraniom Hawthorne'a wyszło nakoniec w Londynie dzieło Delji Bacon p. t. Odsłonięta filozofja dzieł Szekspira". W kilka tygodni później lekarz ze Stratford nad Avon zawiadomił konsula amerykańskiego w Liwerpoolu, że jedna z jego współobywatelek, zamieszkała w Stratford uległa pomieszaniu zmysłów. Zamknięto biedną Delję. Przywieziona do Stanów Zjednoczonych przez swego siostrzeńca, umarła tam w r. 1859.

Książkę jej gazety angielskie i amerykańskie okrutnie zmaltretowały. Pokryto ją błotem— powiada Hawthorne — i ani jeden głos nie przemówił na jej korzyść. Publiczność pozostawała obojętną i nikt książki nie czytał. Jeszcze czas jej nie nadszedł.

Ale teraz już jest blizki. Ziarno rzucone z wiatrem przyjęło się manja miss Delji Bacon owładnęła wieloma umysłami, zdrowymi napozór. To straszne zjawisko — zaraźliwości obłędu.

Z nowel Tołstoja.

Nowa gorzelnia.

Pewien chudzina chłop wyjechał do córki— bez śniadania, zabrawszy jeno kromkę chleba ze sobą. Przybywszy na pole zdjął kaftan, położył go pod krzakiem, a chleb pod kuftan. Po niejakim czasie szkapa się zmęczyła a i chłop zgłodniał. Wyprzągnął, puścił konia na trawę i poszedł ku kaftanowi, aby zjeść swoją kromkę chleba. Podniósł kaftan — patrzy, chleba ani znaku. Szuka, szuka, obraca kaftan na wszestrony — niema chleba. Otworzył ze zdziwienia gębę. Rzecz dziwna. Nie widziałem tu żywej duszy — a przecież ktoś mi chleb ukradł.

A był to nikt inny, jeno kusy (djabeł), który ukradł chłopu chleb w czasie gdy ten spał — ukrył się za krzakiem, chcąc słyszeć, jak chłop będzie klął i djabła wzywał. Okradzionemu w ten sposób chłopu było co prawda markotno — ale pocieszał się, jak mógł. Nu powiada toż nie umrę z głodu; a ten, co chleb ukradł, musiał być nań łakomy — na zdrowie mu!.

I poszedł ku studni — napił się do pełna— skrzepiony zaprzągnął szkapę i dalejże orać!

Zmartwił się kusy, że chłop nie przyprowadził do grzechu, pobiegł duchem do Lucypera i opowiedział, że ukradł chłopu chleb a ten miast zakląć — powiedział tylko: na zdrowie!

Lucyper wpadł w gniew.

— A kto temu winien — krzyknął jak nie ty? Musiałeś za głupio począć! W cóż się obrócimy, jeżeli chłopi i ich baby takich nabędą obyczajów! I ta sprawa! Ale ja do tego nie dopuszczę! Pójdziesz do chłopa i zarobisz na kromkę chleba. Jak mi do trzech roków chłopa nie przerobisz skąpię cię w święconej wodzie".

Zatrząsł się kusy, na wspomienie święconej wody; pobiegł więc co tchu na ziemię, rozmyślając po drodze, jak sobie począć? Myślał, myślał aż wymyślił. Przemienił się duchem w dobrego człowieka i przystał do biednego chłopa za najmytę. I nauczył chłopa w suche lato siać na bagnie. U sąsiadów wszystko słońce wypaliło, biednemu zaś chłopu wyrósł i dojrzał prześliczny kłos. Chłop żył aż do przednowku i jeszcze mu coś zostało. W następne lato nauczył chłop posiać zboże na wyżywienie. I przyszło lato mokre. U drugich kłos zgnił ze wszystkiem prześlicznie zaś dojrzało naszemu chłopu na wyżywienie i zbyło mu jeszcze tyle ziarna, że sam nie wiedział, co z niem począć. W tedy najmita nauczył chłopa z żyta pędzić wódkę; i chłop pędził wódkę — pił sam i dawał pić drugim.

Kusy poleciał do Lucypera i pochwalił się że teraz zarobił kromkę chleba.

Lucyper chciał się na własne przekonać oczy. Idzie tedy do chłopa i widzi: jak najbogatszych ludzi we wsi zaprosił w gościnę i częstuje ich wódką; gospodyni obnosi ją w około. Częstując, potyka się o stół i rozlewa kieliszek. Chłop wpadł w złość i zwymyślał babę.

„Djablica przeklęta — zawołał — czy to ślina, że tak po podłodze rozlewasz. A kusy czturknął łokciem Lucypera“.

„Uważasz — szepnął — już nie mówi teraz: na zdrowie!“

Chłop klął jeszcze i sam już nalewał. — A z roboty przychodzi ubogi chłop, który nie był zaproszony, mówi „pochwalony“ siada i patrzy; chłopi piją wódkę; radby też wedle skrzepienia napić się krzynę; siedzi, siedzi i połyka ślinę. A gospodarz miast nalać kieliszek biedakowi mruczy do siebie: „Dla wszystkich nie stanie wódki!“

I to też przypadło wielce Lucyperowi do smaku. A kusy rzecze:

Poczekaj ino krzynę — zaczną się tu insze rzeczy.

Pili goście, pił i gospodarz. Zaczęli sobie schlebiać, chwalić nawzajem, mowę ich — tylko na chleb smaruj!

A zaś Lucyper kusemu do ucha: „Niech ino się pouczą wzajem dobrze obełgiwać — a mamy ich wszystkich w garsci.“

— Poczekaj jeszcze —rzecze kusy —niech popiją kieliszek; teraz łechce jeden drugiego lisim ogonem, — ale jak obróć ręką — rzucą się na siebie jak wściekłe wilki.

Po drugim kieliszku — poczynają chłopi mówić głośniej i ordynarniej. W miejsce miodowych słów — wszczynają kłótnię; tu padło ostre słowo — tam drugie i zaczyna się bitka — odbijają sobie nosy do krwi. I gospodarz się wmieszał — zbili go na kwaśne jabłko.

Lucyper widział to i podobał sobie bardzo.

„Ot, tak, tak dobrze!“ mruczał.

„Poczekaj — rzekł kusy będzie tu jeszcze gorącej! Niechno trzeci wypiją. Zażarci jak wilki — a upatrzeć tylko — będą jak świnie“.

I piją chłopi po trzecim kieliszku. Stają się jako kłody, bełkocą, stękają — jąkają i żaden nie wie co mówi. Teraz wytaczają się z chaty — pojedyńczo po dwóch, po trzech: przewalają się po drodze. Gospodarz wyprowadza ich i — pada twarzą w kałużę — zabazgrał się od góry do dołu — i tak leży tu jak dzika świnia i kwiczy.

To się Lucyperowi podobało najbardziej.

„Nu, rzecze — wymyśliłeś przedni napój— zarobiłeś kromkę chleba. Powiedz mi teraz jak ten napój przyrządziłeś? Wziąłeś napierw krwi z lisa — chłop stał się chytrym, jako lis; dolałeś potem krwi wilka: złość stała się w nim jak u wilka; w końcu pomięszałeś to wszystko z krwią świńską, stał się świnią.

„O nie — rzekł kusy nie tak ja mięszałem. Nie zrobiłem nic więcej tylko urodziłem mu do zbytku żyta. Zwierzęca krew była w nim od dawna ale dopóki ma chudy chleb nie wychodzi na wierzch. Tylko zbytek co go podnieca: zaraz zaczyna brykać i łaknie wszelkiej zabawy. Ja mu pokazałem drogę do wódki. I w chwili, gdy boży dar przemieniał na wódkę, odezwała się w nim krew lisa, wilka i świńska.

Niech tylko zawsze wódkę pije a zostanie zwierzęciem na wieki.

A Lucyper pochwalił kusego i wyniósł go na wysoki bardzo urząd.

RESURREXI...

Wiem, że po siebie wydadzą plon żniwa,
Że plon ten zbiorą łaknący i prości,
Wiem, że ta sława pośmiertna, co bywa
Nagrodą piewcy, trwa chwilę w wieczności
I myślę smutny o owej godzinie,
Gdy klon spożyją, gdy chwila ta minie.

I myślę smutny, że ścieżki cierniowej
Tam tylko szukać, gdzie duch wielki mieszka,
Lecz odblask sławy, lecz wieniec laurowy
Skroń zdobi również pajaca i śmieszka,
Krótszą ich sława i laury ich więdną,
Ale ta krótkość jest ludzką i względną.

Więc czyż nie lepiej, jak lichy pajacoo,
Twarz swą bezmyślnym przystroić uśmiechem,
Śpiewać to tylko, za co hojnie płacą,
Pożądań czerni posłusznem być echem
I, nie spłonąwszy, jak ogniem, sromotą,
W nagrodę zbierać i wieńce, i złoto?...

O, nie... nie lepiej!... Z cichego ukrycia
Zejdź pieśni czysta i nimbem opromień.
Nie chucie czerni, nie rozkosz u życia,
Lecz swego Znicza i ołtarz, i promień,
To, co jak niebo — przejrzyste, słoneczne—
I to, co jako myśl twórcza — odwieczne...

Zejdź pieśni czysta, w dolinach tej ziemi
Błądzić i echem czarować słuchaczy,
I na świat patrzeć oczami swojemi
Wiecznie tak samo i wiecznie inaczej...
Zespalać, łączyć uczucia w rozterce
z ich harmonj idać ziemi tej — serce...

J. K.